“Macbeth” w mieście awangardy



„Macbeth” w reż. Grzegorza Jarzyny, Nowy Jork, materiały prasowe

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Przypomnienie ciekawego wydarzenia teatralnego

Od 17 czerwca 2008 roku przez 12 wieczorów publiczność nowojorska miała okazję oglądać spektakl TR Warszawa – „Macbeth" – swobodną adaptację dramatu Szekspira", w reżyserii Grzegorza Jarzyny. Reżyser przeniósł akcję w czasy współczesne, opatrując przedstawienie aluzjami do walki z terroryzmem i sytuacji na Bliskim Wschodzie. Całość została spięta klamrą zbrodni i kary, która zawsze powraca, niczym bumerang. Mnogość scen, przypominających luźno ze sobą połączone klatki filmowe, wraz z efektami multimedialnymi powodowała, że gra aktorska schodziła na dalszy plan. Mimo zachowania zgodności wydarzeń szekspirowskich, aktorzy zdawali się być marionetkami w teatrze, podporządkowanymi widowisku. Między Macbethem (Cezary Kosiński) a Lady Macbeth (Aleksandra Konieczna) nie wytwarzało się napięcie, na którym opiera się dramat. Lady Macbeth w tym spektaklu cichnie, w porównaniu z wielkimi rolami dramatycznymi, które weszły do historii teatru. Tytułowy bohater także odbiegał od stereotypu postaci szekspirowskiej. Został pokazany, jak jeden z wielu, którzy opanowani rządzą władzy ulegają efektowi domina, zatracając przy tym swoje człowieczeństwo. Możliwe, że okrojenie bohaterów z głębi psychologicznej i stworzenie postaci idących w kierunku mechanizmów produkujących zło, jest

celowym zabiegiem, aluzją do „cywilizacji obrazkowej” i koszmaru współczesnego świata pochłoniętego wojnami.

Spektakl rozegrał się na pięciu pudełkowych scenach, na trzech poziomach. Oprócz licznych efektów dźwiękowych i specjalnych został wzbogacony o projekcje wideo, dzięki którym na ogromnych rozmiarów ekranie, widać było zbliżenia twarzy aktorów.

Sztuka opowiada szekspirowską historię posługując się współczesnym językiem. Nowojorski spektakl rozegrał się pod gołym niebem w Tobacco Warehouse, wynajętym na tę okazję przez teatr St. Ann’s Warheouse, u stóp oświetlonego wieczorem słynnego Brooklyn Bridge.

Nowatorskie podejście do klasyki zawsze wywołuje kontrowersje i porównania. Dlatego widowisko Grzegorza Jarzyny ma zarówno swoich zwolenników, jak i przeciwników. O spektaklu i dyskusji na temat „Macbetha” rozmawiam z Moniką Fabijańską – dyrektor Instytutu Kultury Polskiej w Nowym Jorku, który niezwykle prężnie działa i przyczynia się do propagowania polskiej kultury w tym mieście awangardy.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Polska premiera „Macbetha” w

reż. Grzegorza Jarzyny odbyła się w Warszawie w 2005 r. w opuszczonej hali Zakładów im. Waryńskiego przy ul. Kolejowej. Jak to się stało, że po trzech latach spektakl mogła obejrzeć publiczność nowojorska i to na jednej z najlepszych scen teatralnych Ameryki – St. Ann's Warehouse na nowojorskim Brooklynie?

Monika Fabijańska: Instytut Kultury Polskiej zawsze współpracuje z dyrektorami tutejszych uznanych instytucji i razem z nimi wybieramy produkcje, które mogą znaleźć tu odbiorcę. Zabieramy ich do Polski na tak zwane „zakupy". Czasem jesteśmy pewni, co chcemy pokazać, czasami oni coś chcą wybrać, a my się wahamy. Tak było i w tym przypadku. Trzy lata temu zabraliśmy do Polski Susan Feldman – dyrektora artystycznego St. Ann's Warehouse. Jest to jedna z najbardziej wpływowych osób w amerykańskim świecie teatru. Po zobaczeniu warszawskiego spektaklu powiedziała: ja chcę „Macbetha" i koniec. My nie byliśmy na sto procent pewni, choćby ze względu na skalę przedsięwzięcia i ryzyka, ale Feldman była zdeterminowana. Przedstawienie miało się odbyć latem zeszłego roku, ale poprosiłam o przełożenie prezentacji o rok, uznając, że termin sierpniowy nie jest dobry, a prezentacja jeszcze nie gotowa. Szczerze mówiąc, bardzo się tym naraziłam Susan Feldman.

JSG: Jak wyobrażała sobie pani Susan Feldman spektakl w

Nowym Jorku?

MF: Kilkakrotnie rozmawiałyśmy na ten temat. My mieliśmy wątpliwości. W Ameryce niemal każda wioska, każdy campus uniwersytecki ma swój festiwal szekspirowski. Ludzie są zaznajamiani z Szekspirem już od wczesnego dzieciństwa. A ten spektakl nie posługuje się przecież oryginalnym tekstem. Zastanawiałam się więc jak zareaguje publiczność. – Właśnie takie podejście jest nowatorskie – odpowiadała Susan Feldman – i takiej interpretacji jeszcze tu nie widzieli. Ustawimy scenę nad rzeką, będzie wspaniale. Rzeczywiście, jest to największe tegoroczne wydarzenie teatralne w Nowym Jorku. O żadnym innym spektaklu tyle nie mówiono i nie pisano, na żadne inne przedstawienie tak długo nie czekano, i na żadną sztukę tak szybko nie sprzedały się wszystkie bilety.

JSG: Czym różni się spektakl nowojorski od spektaklu warszawskiego?

MF: Przedstawienia te różnią się zasadniczo. W Warszawie spektakl był grany w ogromnej, pustej, czarnej przestrzeni pofabrycznej. Pierwsze rzędy publiczności ustawione zostały ponad 20 metrów od sceny i ok. 15 metrów nad ziemią na podniesionym rusztowaniu. W efekcie publiczność nie patrzyła na gesty, szczegóły, psychologię. Z daleka widać ogólny obraz: wszystkie pięć scen naraz, i całość odbierana jest jak widowisko

zawieszone w nieokreślonej wirtualnej przestrzeni, niczym w grze komputerowej lub filmie.

Natomiast tutaj mieliśmy zupełnie inną sytuację. Szukanie odpowiedniej przestrzeni w Nowym Jorku do tego spektaklu zajęło półtora roku. Mieliśmy różne pomysły, łącznie z tym, że Susan Feldman rozważała podniesienie dachu St. Ann's Warehouse. To jednak okazało się zbyt drogim rozwiązaniem. W efekcie, scenografia do nowojorskiego „Makbeta" to ok. 70% wymiarów warszawskiej. Miejsca dla publiczności usytuowane są tuż obok sceny, co zmienia całą filozofię odbioru. Projekcje wideo, które przybliżają nam twarze, to też nowy element, którego nie było w polskiej wersji tego spektaklu. Reżyser poszukiwał innych rozwiązań formalnych, aby dotrzeć do widza w zmienionej sytuacji scenicznej.

JSG: Jak spektakl odebrali nowojorczycy, co pisali nowojorscy krytycy?

MF: Publiczności najwyraźniej spektakl się podobał. Oczywiście, są dyskusje – jedni po wyjściu ze spektaklu mówili: to było fantastycznie, nigdy nic lepszego w życiu nie widziałem; a inni: to okropne. Taka odmienność zdań świadczy o tym, że spektakl budzi kontrowersje, a to dobra oznaka. Jest to na pewno bardzo nowatorska propozycja współczesnego teatru. Wielu krytyków natomiast zarzuciło mu brak głębi. Po licznych zapowiedziach,

łącznie z ogromnym artykułem w New York Times, recenzje po spektaklu tę atmosferę trochę wyciszyły – choć nowa fala tym bardziej zaciekawionej publiczności zaczęła szturmować kasę teatru – bez najmniejszych zresztą szans na zakup biletu. Nigdy nie dzieje się tak, że się podbija i podbija apetyty, obiecuje bardzo dużo, ludzie wykupują bilety, a potem wszyscy dalej chwalą. Recenzenci piszą długie i wyczerpujące teksty: podkreślają nowatorstwo widowiska, pomysł przeniesienia spektaklu w przestrzeń niemal filmową, wysoko oceniają orkiestrację efektów dźwiękowych (każdy widz miał słuchawki), wideo i specjalnych, w tym pirotechnicznych, a zwłaszcza zapierającą dech w piersiach lokalizację – pomiędzy dwoma mostami, z widokiem na nocną sylwetę Manhattanu. Zarzucają natomiast Grzegorzowi Jarzynie, że nie wystarczająco skupił się na głębi psychologicznej i grze aktorów, że pomiędzy postaciami nie została wypracowana logika łącząca ich poczynania. W oryginale jest przepowiednia i tajemnica, a pomiędzy Lady Macbeth i Macbethem rozgrywa się ten niesłychany szekspirowski dramat. Krytyka twierdzi, że w spektaklu tego napięcia nie ma. Ja bym się z tym poniekąd zgodziła: więcej wysiłku włożono w warstwę widowiskową. Zbliżenie publiczności do sceny zakłóciło pierwotny pomysł interpretacyjny i zespół nie zdążył dopasować się do nowych warunków, a ulewne deszcze spowodowały, że nie wszystkie próby mogły się odbyć.

JSG: Odniosłam wrażenie, że spektakl był bardziej widowiskiem,

zbliżonym do komiksu, niż dramatem Szekspira.

MF: Wydaje mi się, że trzeba zobaczyć warszawskie przedstawienie, żeby do końca zrozumieć koncepcję reżysera. Moim zdaniem Grzegorz Jarzyna celowo stworzył tak zdepersonalizowane postaci. Widz nie identyfikował się tam z cierpieniem i przeżyciami Macbetha, ani nie wstrząsała nim bezprzykładna bezwzględność Lady Macbeth. Całość była włożona jakby w jeden ekran, odzwierciedlający chaos wojny dokumentowany zdjęciami z noktowizorów, którymi właśnie wtedy karmiły publiczność newsy, podczas gdy przeciętny człowiek, nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Tak więc oryginalny zamysł Jarzyny zasadza się właśnie raczej na ukazaniu braku logiki wojny, braku logiki psychologii dążenia do władzy, niż na dokładnej realizacji tekstu Szekspira.

Gdy spektakl zobaczyłam tutaj, spodziewałam się krytyki braku wewnętrznej logiki akcji czy psychologicznej głębi. Tu twarze aktorów są tuż przy twarzach widzów, którzy śledzą najdrobniejsze gesty. Wracamy więc pod wyimaginowany w tym przypadku (bo wygwieżdżony) dach intymnego teatru. Jesteśmy zamknięci w świecie razem z Macbethem, patrzymy mu na ręce, przyglądamy się prawdzie gry psychologicznej, tej nieprawdopodobnej paranoi, która ogarnia dwoje ludzi i która ma nas przerazić. A nie to przeraża w tym spektaklu. Zmiana skali według mnie nie do końca się udała, mimo przekonania

Susan Feldman. Ale to mogę powiedzieć ja, jedna z kilku zaledwie osób, które widziały obie realizacje, natomiast publiczność nowojorska miała swoje odczucia. Dla niej skala tej realizacji była ogromna.

JSG: Zwróciłam uwagę, że na spektaklu było bardzo dużo młodych ludzi i wyglądali na zachwyconych przedstawieniem.

MF: Kiedy Grzegorz Jarzyna zaczynał swoje eksperymenty teatralne, chciał przyciągnąć do teatru zupełnie nową publiczność, ludzi młodszych o dwa pokolenia od tych, którzy w Warszawie do teatru zwykle chodzili. Ta młoda publiczność pozostawała obojętna na uroki gry aktorskiej, odległa była od klasycznego języka teatru. To właśnie dzieci gier komputerowych znalazły w tych widowiskach swój język i znajomy sposób obrazowania świata. Koncepcja Grzegorza Jarzyny, dzięki użyciu takiego właśnie języka i środków teatralnych powoduje, że niektórzy młodzi ludzie, którzy inaczej niekoniecznie by to uczynili, mogą zainteresować się Szekspirem.

JSG: Sukcesu nie można mierzyć tylko recenzjami, sukces to też fakt, że o polskim teatrze dyskutuje się w Nowym Jorku, że ma swoich zwolenników i przeciwników.

MF: W tym sensie spektakl odniósł niebotyczny sukces. Moja zastępczyni, Agata Grenda, która nota bene odpowiedzialna

była za nasz program teatralny i ciężko pracowała nad tą produkcją, została zagadnięta przez kelnera w restauracji na Manhattanie skąd pochodzi. „Z Polski". „Z Polski?! A słyszałaś o Makbecie? Musisz na to iść!" A więc Makbet zamiast Wałęsy czy Papieża? Udało się to, co wydawało się niemożliwe: dotarcie z hasłem „Polska" odbieranym pozytywnie do przeciętnego Nowojorczyka, „pod strzechy". Najważniejsze instytucje kulturalne Nowego Jorku zyskały ostateczny dowód na to, że proponowana przez nas kultura polska może być prezentowana na wielką skalę produkcyjną, logistyczną, marketingową. To jest niesłychanie ważne, ponieważ ma bezpośredni wpływ na zainteresowanie każdą inną propozycją kulturalną z Polski, także mniej ekstrawagancką. A różnorodność jest niezwykle ważna. Cztery lata temu, gdy Jarzyna przyjechał ze spektaklem „Zaryzykuj wszystko", nie osiągnął takiego sukcesu, bo nie był on aż tak widowiskowy. Sprzedało się ok. 70% biletów, w prasie, w tym w New York Timesie ukazywały się dobre recenzje, ale nie było to wydarzenie na skalę tego miasta. Mimo że sztuka była świetna i głębi psychologicznej nikt jej nie odmówił. Więc czy można postawić pytanie, co jest lepsze?

JSG: Wydaje mi się, że każda inscenizacja zawsze będzie miała swoich zwolenników i przeciwników, bo każdy ma inne doświadczenia i na inne elementy zwróci uwagę.

MF: W tym wiecznie głodnym wrażeń kolosie, w którym

prezentujemy kulturę polską publiczność jest wyjątkowo różnorodna i spragniona nowinek. Mamy publiczność i starszą, i młodszą, bardziej wymagającą, i mniej wymagającą, różnych kolorów skóry, z różnymi doświadczeniami, zapleczem wiedzy z kraju, z którego pochodzi i z różnymi oczekiwaniami kulturalnymi. Staramy się więc pokazywać polską kulturę zróżnicowaną, w szerokim kontekście. Np. Krzysztof Warlikowski i Grzegorz Jarzyna to reżyserzy bardzo różni, każdy z nich ma swoich zwolenników i przeciwników. Jedni daliby się „pokroić" za Jarzynę, a Warlikowski jest dla nich zbyt intelektualny i nudny. Są też tacy, którzy twierdzą, że Warlikowski jest wybitny, ponieważ zajmuje się psychologią postaci, a Jarzyna robi fajerwerki. Jest więc wiele sposobów odczytywania kultury i powodów, dla których w tak różny sposób tę kulturę interpretujemy. My staramy się zainteresować Polską całą tutejszą publiczność, a nie tylko tych, którzy myślą tak samo jak my, swój prywatny gust pozostawiając dla siebie.



„Mackbeth” w reż Grzegorza Jarzyny, Nowy Jork, materiały prasowe



„Mackbeth” w reż Grzegorza Jarzyny, Nowy Jork, materiały prasowe



„Mackbeth” w reż Grzegorza Jarzyny, Warszawa, materiały prasowe

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, maj/czerwiec 2008 r.